

<https://wyborcza.pl/7,75968,27205488,wicemarszalka-terleckiego-pociag-do-moskwy.html>

GAZETA WYBORCZA

15 czerwca 2021 | 17:50

[Dzisiejsza gazeta \(e-wydanie\)](#)



Grzegorz Przebinda

## Wicemarszałka Terleckiego pociąg do Moskwy



Ryszard Terlecki (Fot. Łukasz Krajewski / Agencja Gazeta)

Wymknęły się spod palców na Twitterze te niegodne profesora i polskiego polityka słowa, które wszak można było przynajmniej wyprostować. Czapka by z głowy marszałkowskiej nie spadła.

*Nie ma moralności partyjnej, podobnie jak nie ma partyjnej tabliczki mnożenia; to, co partyjne, nie jest już moralnością* (moja parafraza aforyzmu Antona Czechowa)

Ostatnia partyjniacka „białoruska wypowiedź” wicemarszałka Terleckiego słusznie wywołała prawdziwe tym razem moralne wzmożenie w Polsce. Do jej bezwzględnej krytyki przyłączyli się nawet niektórzy aktualni – przynajmniej jeszcze – koalicjanci PiS-u. Mowa tu oczywiście o filipice Ryszarda Terleckiego na Twitterze z 4 czerwca, gdy radził on Swiatłanie Cichanouskiej, faktycznej przywódczyni wciąż jeszcze żywej białoruskiej opozycji, aby pomocy poszukała sobie w Moskwie: „Jeżeli Cichanouska chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego, to niech szuka pomocy w Moskwie, a my popierajmy taką białoruską opozycję, która nie staje po stronie naszych przeciwników”. Twierdzi zatem z powagą Terlecki, że zadawanie się z opozycją w Warszawie winno skutkować dla Cichanouskiej wilczym biletem ze strony aktualnie rządzących w Polsce, a ostatecznie – wyjazdem tej przywódczyni białoruskiej opozycji do putinowskiej – bo jakiej innej? – Moskwy.

Wymknęły się spod palców na Twitterze te niegodne profesora i polskiego polityka słowa, które wszak można było przynajmniej wyprostować. Czapka by z głowy marszałkowskiej nie spadła. Ale nadzieje znowu okazały się płonne, bowiem list Terleckiego, już z 8 czerwca i tym razem osobiście do Cichanouskiej, jawnie dowodzi, że wicemarszałek Sejmu pograżył się w swym partyjniactwie już naprawdę nieuleczalnie. Pominę miłośernie jego karkołomne wyliczanki, jak to PO prześladowała była za swych ośmioletnich rządów współ z PSL biedny PiS – w tym także i jego sojuszników – kiboli. A już terlecka teza o podobieństwie rządów tychże PO-PSL do obecnej władzy Łukaszenki jest równie bzdurna, jak święte przekonanie wicemarszałka o rozkwicie demokracji dziś w Polsce.

Najbardziej mnie jednak poruszył ten oto – pozornie tylko sentymentalny – akapit z listu Terleckiego do Cichanouskiej: „Kilkakrotnie byłem w Mińsku i innych miastach, spotykając się z politykami obozu władzy, nie po to, aby tę władzę uwiarygadniać, ale by przekonywać, że oprócz Rosji istnieje inna możliwość wyboru. (...) Podczas wizyt na Białorusi oficjalnie spotykałem się z liderami opozycyjnych partii, a także z przedstawicielami organizacji polskiej mniejszości narodowej. Gdy wieczorami wychodziliśmy na ulice Mińska, już bez towarzystwa oficjeli, cieszyliśmy się, że białoruska młodzież niczym nie różni się od młodzieży w Warszawie, Budapeszcie czy Brukseli. W ostatnim czasie w Sejmie

przyjmowałem działaczy białoruskich, zmuszonych do opuszczenia kraju i działalności politycznej na emigracji”.

Nie trzeba chyba dodawać, że owi „politycy obozu władzy”, których wicemarszałek Sejmu nawiedził był w ostatnich latach w Mińsku, przekonać się jakoś nie dali, a i białoruska młodzież też niestety nie wykrzykiwała hasła „Terlecki!” na swych niedawnych mitingach przeciwko Łukaszence. Któremu notabene z tak wielkim wzruszeniem ścisnął oburącz dłoń inny rządzący pisowski marszałek – Stanisław Karczewski... Pojawiająca się natomiast u Terleckiego „młodzież warszawska” dopiero co dostawała łupnia w stolicy od umundurowanych pałkarzy, broniących demokracji z nieludzkim, by tak rzec, obliczem... Nie wiem zaiste, jak krakowski w końcu profesor mógł nie przeprosić Cichanouskiej za swój potworny lapsus na Twitterze, lecz odważył się jeszcze zakończyć swój zdumiewający list do niej takim cynicznym frazesem: „Równocześnie mogę Panią zapewnić, że moja sympatia dla narodu białoruskiego pozostaje niezmienna, a niepodległościowym działaczom białoruskim życzę powodzenia w ich trudnej walce. Z wyrazami szacunku i życzeniami sukcesu w Pani działalności”.

\*

Z Ryszardem Terleckim dobrze się znałem, a może nawet i przyjaźniłem w pierwszej połowie lat 90. w Krakowie. A nasza wspólna intelektualna przygoda zaczęła się tam jeszcze w stanie wojennym. Dziś z pewnym zdziwieniem odnajduję na stronie IPN-u w oficjalnej biografii Janusza Kurtyki następujący passus: „Prawdopodobnie w 1983 r. Janusz Kurtyka uczestniczył w poufnych debatach na temat społeczeństwa podziemnego, organizowanych w Instytucie Filologii Rosyjskiej UJ, do których wprowadzenie przygotowywali Andrzej Chwalba, Krzysztof Gurba i Adam Zając, a udział w nich brali m.in. Grzegorz Przebinda, Anna Rażny oraz Jan Maria Rokita. W latach 1982–1987 [Kurtyka] wykładał na Podziemnym Uniwersytecie Jagiellońskim. Współpracownikami, z którymi kontaktował się bezpośrednio, wyznaczającymi mu terminy i miejsca wykładów, byli: Marcin Bochenek, Andrzej Nowak i Ryszard Terlecki (...).” Przyznam, że Janusza Kurtyki, którego szczerze lubiłem i do dziś boleję nad jego śmiercią w absurdalnej smoleńskiej katastrofie, z tych spotkań zupełnie nie pamiętam. Uczestniczyli w nich nadto na pewno Józef Życiński, wówczas jeszcze nie arcybiskup, Lucjan Suchanek – to on był tutaj prawdziwym gospodarzem! – Miłowit Kuniński, Andrzej Nowak. Ja natomiast byłem jeszcze wyznaczany, także i przez obecnego

marszałka Ryszarda Terleckiego, do wspomnianych wykładów Niezależnego UJ – wykładów dla parafian, robotników i uczniów o budzącej się powoli do życia nowej, jak sądziłem, wolnej Rosji. Jeździłem z takimi prelekcjami m.in. do Nowej Huty, chodziłem na Osiedle Podwawelskie w Krakowie, a parokrotnie latem i zimą 1983 roku wyprawiałem się nawet autobusem z podkrakowskiego Kłokoczyna aż na Śląsk Cieszyński do Wisły. W maju tegoż 1983 czytałem w krakowskim mieszkaniu arcyopolonisty Waława Twardzika – w obecności m.in. Andrzeja Drawicza, Andrzeja Romanowskiego, Jerzego Pilcha i nawet chyba Mariana Stali – fragment mojej pracy magisterskiej o Solżenicynie, którą niebawem – jeszcze w stanie wojennym – obroniłem. Profesorowie UJ nie bali się – jak widać – tematów zakazanych, a mnie samemu nawet i do głowy nie przyszło, że mógłbym pisać o czym innym. Chwała tu jednak przede wszystkim memu promotorowi – profesorowi Ryszardowi Łuznemu

A zaraz potem – w 1984–1985 – zostałem najpierw sekretnym konsultantem od spraw rosyjskich w krakowskim piśmie „Arka”, a potem nawet i autorem tego podziemnego kwartalnika. Publikowałem tam ważne, i chyba nie tylko dla mnie, recenzje, osobiste wywiady z rosyjskimi pisarzami i redaktorami na emigracji – Natalią Gorbaniewską czy Iriną Iłowajską-Alberti. Czyniłem to pod pseudonimem „Henryk Cywiński”, na cześć dziadka ze strony matki, który poległ rzeczywiście podczas kampanii wrześniowej w Wielkopolsce. Redaktor naczelny „Arki” Jan Polkowski wysłał mnie nawet w styczniu 1987 do Paryża, skąd powróciłem z bagażem książek i głową pełną pomysłów na dalszą współpracę z przyjaciółmi Moskalami. Notabene książki zostały mi skonfiskowane na lotnisku, ale odsądziłem je po roku, w marcu 1988, od Głównego Urzędu Cei po korzystnym dla mnie wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego i jeszcze w dodatku opisałem to wszystko w tekście „Cło czy cenzura?” na łamach „Tygodnika Powszechnego” (27 XI 1988). Celnicy na Okęciu wypróżnili też z mego portfela 500 dolarów, które wiozłem dla Polkowskiego od Iriny Iłowajskiej na rzecz podziemnej „Arki”. Ponieważ jednak władza ludowa potrzebowała wówczas – jak kania dżdżu – dewiz, a może i były inne powody, to dolary mi jednak po wahaniu zwrócono i mogłem je, na szczęście, przekazać temu, komu się prawnie należały. Rzeczonego Jana Polkowskiego odwiedzało się wtedy w mieszkaniu na Rakowicach, które długo dzierżawił był od Adama Zagajewskiego, jako że ten z kolei przebywał od 1981 na emigracji w Paryżu.

Gdy zaś w 1989 runął już komunizm, to kontynuowałem „rosyjską działalność” na łamach nowo powstałego dziennika „Czas Krakowski” oraz na kartach wynurzonej właśnie na

powierzchnię „Arki”, redagowanej teraz przez filozofa z UJ Ryszarda Legutkę. Miałem tu – wspólnie z bliskim mi historykiem Andrzejem Nowakiem, redaktorem Bogdanem Gancarzem, na którego zawsze można było liczyć, z oryginalnym polonistą Andrzejem Waską, notabene także dobrym piłkarzem, a zatem i kolegą z boiska – wywiady z Władimirem Bukowskim, ponownie z Gorbaniewską, z Życińskim już teraz arcybiskupem. Pisałem także na pierwszej stronie, dlaczego Sołżenicyn nie powraca, na razie, do Rosji oraz publikowałem rozmowę z Georges'em Nivatem na nieśmiertelny do dziś temat – dokąd zmierza Rosja?

W kierowanym zaś przeze mnie osobiście – na mocy mandatu Polkowskiego – wydawnictwie „Arka” publikowałem wspólnie z nieocenioną Zuzanną Dawidowicz – zaraz po tomie „Wierszy” Emily Dickinson w tłumaczeniu Barańczaka – „Dyktaturę zdrady” Terleckiego (dziś widzę, że nie najlepszą, choć wartko napisaną), wspaniałego „Ptasznika z Wilna” Włodka Boleckiego oraz głośne „Jak odbudować Rosję?” Sołżenicyna, a także niebywały album „Kazimierz krakowski” Stanisława Markowskiego, obdarowanego talentem bożym krakowskiego fotografika. W 1992 wydałem też w „Arce” swoją książkę „Włodzimierz Sołowjow wobec historii” bardzo dobrze – mogę się chyba pochwalić? – przyjętą. Wierszy Jarosława Rymkiewicza o sosnach powiatu oszmiańskiego wydać już jednak nie zdążyłem, rozstałem się bowiem z fatalistą Polkowskim w raczej burzliwy sposób, a założyłem – ciekawe, że właśnie wspólnie z Terleckim – nowe Wydawnictwo Stradom. O przyczynach rozstania z „Arką” – nie byłem tu bynajmniej jedyny! – napiszę kiedyś naprawdę osobno. Teraz tylko powiem, że czasy były to trudne dla książkowego biznesu. Sołżenicyn sprzedawał się raczej słabo, a na rzecz „Ptasznika z Wilna” przywoziłem z Paryża od nieocenionej pani Ireny Lasoty kolejne 1000 dolarów w kieszeni, tak że mogliśmy za ten okrągły kapitałik porozsyłać z 1000 chyba egzemplarzy dzieła Boleckiego do bibliotek po prowincjach.

Współpraca w Wydawnictwie Stradom z Terleckim nie była to długa, ale owocna, bo wydaliśmy wspólnie np. dwie książki mojego niezapomnianego profesora Ryszarda Łuźnego, a przede wszystkim – jego „Słowo o Bogu i człowieku. Myśl religijna Słowian Wschodnich doby staroruskiej” (1995).

W momencie zaś wcześniejszego sporu Wałęsy z Mazowieckim popieraliśmy zdecydowanie – wbrew notabene Maciejowi Szumowskiemu, który konsekwentnie odszedł z „Czasu” – oczywiście Lecha Wałęsę. Mój zaś ówczesny list do redakcji – pod chyba za bardzo rewolucyjnym tytułem „Niech przyjdzie Wałęsa!” – myślę, że i mógł nawet wzmocnić tamto nasze, już i bez tego wielkie „moralne wzmożenie”. ... O coś ważnego tam wtedy wszak

chodziło... Wyznawaliśmy zatem w owych czasach – wspólnie z Terleckim, na pewno Polkowskim i Januszem Majcherkiem, Mieczysławem Gilem, a chyba i Ryszardem Legutką, choć on był raczej amerykańistą-liberałem – wiarę w wolną Rosję, Ukrainę, Litwę i Białoruś. Wszystko w ożywym duchu Mieroszewskiego i Giedroycia. Planowaliśmy nawet wspólnie z Ryszardem nagrać wywiad-rzekę z profesorem Łuźnym o Ukrainie i o Białorusi właśnie. Odbyliśmy już nawet wstępną rozmowę w trójkę w Gołębniku Łuźnego – w Małym Domku UJ przy ul. Krupniczej 35. Wszystkie te moje dobre wspomnienia legły już teraz, niestety, w gruzach.

Wszak zastanawiam się nadal, jaką to rolę marszałek z bożej łaski Terlecki – żołnierz, jak on sam mówi, Kaczyńskiego, a tak na oko to i jego ochroniarz – przewiduje dla Swietłany Cichanouskiej w putinowskiej Moskwie? Z jego nieodwołanego przecież twitterowego wpisu wynika, że dzielna białoruska opozycjonistka miałaby tam pełnić rolę akolitki Putina... Ja natomiast sądzę, że gdyby rzeczywiście naszym politycznym – używając dokładnie ich języka – ścirom udało się jednak wypchnąć Cichanouską do Moskwy, to mogłaby tam ona stać się, niestety, obiektem trucicielskiej akcji „nowiczokiem”. Takiej, jaką zastosowano – co się teraz właśnie wiarygodnie okazuje – 13 kwietnia 2019 roku względem współczesnego pisarza i myśliciela Dmitrija Bykowa. Z nim notabene od 2004 roku szczerze się przyjaźnię.